

# Podróże kształcą?

## Refleksje na temat sensowności podróżowania

Marcin Florian Gawrycki

fol. Arek Kalin



Współczesny podróżnik  
stoi przed dylematem,  
co odkryć, skoro wszystko  
jest już niemal odkryte.

Po ciężkim roku pracy nastaje moment urlopu, wyczekiwany niemal przez wszystkich. Przecież prawo do wypoczynku zostało wpisane do międzynarodowego katalogu praw człowieka, więc się nam bez wątpienia należy. Niektórzy wolą pozostać w domu, ale większość z nas woli się przemieszczać – nawet chwilowa zmiana miejsca pobytu daje nam szansę na oderwanie się od nużącej codzienności i stanie, choć na chwilę, kimś innym. I nieważne w tym wypadku jest, gdzie się mieszka – zawsze ciągnie nas w drogę. Można na co dzień żyć w rajku turystycznym, jednak na nasze wakacje wolimy się wyrwać gdzieś indziej. Na Kubie popularny jest słodko-gorzki żart, że najbardziej pożądanym zawód wśród Kubańczyków to turysta. Od siebie mogę dodać, że dzieciństwo spędziłem w rodzinnym Giżycku. Irytowało mnie wówczas, że jedyne, co rodzice mają mi do zaoferowania, to podróż 12 kilometrów na działkę do Bogacka, nad prześliczne jezioro Dejguny. Rok w rok – to samo. Uciekłem stamtąd na studia do Warszawy, przez wiele lat wracałem tylko na święta. Dopiero po iluś tam latach doceniłem urok rodzinnego miasta, do którego teraz wracałbym tak często, jak się tylko da.

Polskie społeczeństwo się bogaci i coraz częściej ruszamy w podróżą dalszą – zagraniczną,

i właśnie na niej chciałbym się teraz skupić. I to nie na tej europejskiej, ale dalszej – do Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej. Tego typu podróż to już nie tylko wypoczynek, to wyprawa. Najpierw podróż (najczęściej) samolotem, potem poznawanie nowych kultur, dotykane egzotyki, o której dotąd słyszeliśmy jedynie z telewizji czy radia lub czytaliśmy w książce lub czasopiśmie. Nie każdego na taką podróż stać, choć coraz chętniej ciulamy przez rok oszczędności, żeby pozwolić sobie na zagraniczne, egzotyczne wakacje, tym bardziej że często są one niewiele droższe niż wyjazd w polskie góry, nad Bałtyk czy na Mazury.

Popularna maksyma głosi, że podróże kształcą, i chyba nie sposób z tym stwierdzeniem polemizować. Podczas każdej podróży dowiadujemy się czegoś o sobie, poznajemy parę słów w miejscowym języku, naszemu podniebieniu przypadają do gustu (bądź nie) miejscowe specjały, słowem – dotykamy jakiegoś skrawka nieznanej nam dotąd kultury. Ale jeśli podróże kształcą, to czego nas uczą? Chciałbym się więc zastanowić nad sensem poznawania świata przez podróżowanie. Oprócz wspomnianego wcześniej wypoczynku pchać nas mogą w świat chęć zdobycia sławy, charakter wykonywanej pracy czy poszukiwanie wiedzy. Zapewne można by skonstruować rozbudowane struktury, w których spróbowalibyśmy dokonać kategoryzacji osób, które decydują się na pozaeuropejską podróż. Jednakże w tym miejscu chciałbym się przyjrzeć czterem postaciom, które wyruszają w świat: turyście, podróżnikowi, celebrycie i badaczowi.



Turysta wyruszający w świat pozaeuropejski jest w dużej mierze ignorantem. Jego wiedza na temat miejsca, do którego się udaje, opiera +

się zwykle na lekturze przewodników i książek podróżniczych, w znacznym stopniu upraszczających świat, którego dotyczą. Trudno się dziwić, skoro wечно brakuje nam czasu. Jak więc znaleźć jego odrobinę, by wniknąć w inne kultury, które mamy właśnie odwiedzić? Turysta podróżujący zazwyczaj z biurem podróży podpisuje kontrakt, w którym zostaje zwolniony z odpowiedzialności za bycie nieprzygotowanym i jest chroniony przed brutalną (nie-raz) rzeczywistością. Na jego potrzeby tworzony jest wyidealizowany obraz świata – piękne hotele, piaszczyste plaże, bezkresnie błękitna toń morza, kolorowe parasolki w serwowanych drinkach – który ma spełnić jego oczekiwania. W konsekwencji – jak piszą Louis Turner i John Ash – powstaje „mały monotony świat, który wszędzie odpowiada naszemu wyobrażeniu [...], zwińnięciem pogoni za egzotyką i różnorodnością jest uniformizacja”<sup>1</sup>.

Jednocześnie turysta poszukuje autentyzmu. Mimo że jego wiedza zwykle jest bardzo powierzchowna, wie, jak smakują kubańskie cygara czy wygląda arabska nargila. Oczekuje, że tubylec spełni jego oczekiwania i wyobrażenia, wytworzone zanim jeszcze turysta ruszył w świat. Jest on także kolekcjonerem. Liczy się to, żeby będąc w Peru, zobaczyć Machu Picchu, w Egipcie zaś piramidy. Bez tego podróż jakby się nie odbyła. Ważne jest również, żeby owe atrakcje turystyczne uwiecznić na zdjęciu, najlepiej ze swoją własną osobą na pierwszym planie (znam przypadek, jak pewien turysta ciągnął z Polski specjalnie przygotowaną odświętną koszulę, żeby zrobić sobie zdjęcie na Machu Picchu, po którym to fackie dalsza podróż przestała budzić jego zainteresowanie). Poszukując autentyczności, turysta staje się niewolnikiem skomercjalizowanego przemysłu turystycznego, który

tworzy nowe i promuje stare „atrakcje turystyczne”. Zwiedzanie staje się kulturowym obrzędem, którego znaczenie podnoszone jest ciągle przez reklamowe przekazy wielkiego przemysłu rozrywkowego, jakim stała się turystyka<sup>2</sup>.

Zygmunt Bauman wskazuje, że turysta opuszcza dom w poszukiwaniu wrażeń, aby móc potem snuć opowieści o wrażeniach – na czym mu szczególnie zależy. Jednocześnie nie ma w nim uległości wobec tubylczego świata. Wędrując, może zachować wyniosłość wobec krajów, w których przebywa: „jego to woła uczyniła ten świat światem, jaki się zwiedza, światem wartym zwiedzania – i świat ten musi spełnić oczekiwania turysty, musi się wysilić, aby godnym odwiedzin pozostać. Turysta płaci, turysta wymaga. Stawia warunki. Może w każdej chwili odwrócić się plecami, jeśli uzna, że warunki nie zostały spełnione, lub że spełnia się je opieszale czy niedbale. Włóczęga kłania się tuziemcom; turysta oczekuje tubylczych pokłonów”<sup>3</sup>. W ten sposób budowane są hierarchiczne relacje między turystą a tubylcem, które zakładają wyższość świata europejskiego oraz inność i egzotykę Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Jednocześnie turysta czuje się uprawniony do mówienia „tu byłem” i opowiadania o kraju (zgodnie z zasadą „wiem, bo byłem”), którego w rzeczywistości nie poznał<sup>4</sup>. Pytanie, czy turysta w ogóle chce weryfikować swoje sądy i czy jest gotowy do wyrzeczenia się myślowych stereotypów? To bardzo wątpliwe, gdyż podróżą zaczyna rządzić – jak pisze Dariusz Czaja – „[...] logika powielanego przez poko-

<sup>2</sup> Zob. MacCannell D., **Turysta. Nowa teoria klasy próżniaczej**, Warszawa 2002.

<sup>3</sup> Bauman Z., **Dwa szkice o moralności ponowoczesnej**, Warszawa 1994, s. 30.

<sup>4</sup> Cohen E., **Towards a Sociology of International Tourism**, „Social Research” 39/1972, s. 174.

<sup>1</sup> Zob. Turner L., Ash J., **La Horda dorada**, Madrid 1991.

lenia, wygładzonego jak kamień, stereotypu. Jak Wenecja – to gondolierzy, jak Pompeje – to Herkulanum, jak Paryż – to burdele i wieża Eiffla. Ślinotok zafiksowanych w kulturowej pamięci mechanicznych i niemal bezwiednych asocjacji<sup>55</sup>. Turysta chce, aby świat pozostał taki, jaki sobie on wyobraził przed wyruszeniem w drogę. Statyczność i niezmiennosc świata pozaeuropejskiego są niejako przeciwieństwem dynamizmu związanego z podróżowaniem.

Słowem, turysta, nasycony uproszczonym i schematycznym przekazem medialnym, niemający czasu na głębszą refleksję nad odwiedzanymi kulturami, jedzie, aby swoje stereotypowe myślenie utwierdzić. Turysta, podróżując, upewnia się w swoim europocentrycznym przekonaniu, że Europa góruje pod każdym względem nad innymi regionami świata. Obraz krajów pozaeuropejskich przefiltrowany przez foldery biur turystycznych pozostaje dominującą podstawą naszej wiedzy o nich.



Współczesny podróżnik stoi przed dylematem, co odkryć, skoro wszystko jest już niemal odkryte. Nieraz trzeba się nieźle napracować, żeby znaleźć dotąd jeszcze niezauważoną i niezaanektowaną przestrzeń, żeby móc sobie wpisać w rubryce zawód – „podróżnik”<sup>56</sup>. Pogoń za dokonaniem czegokolwiek przyjmuje nieraz wręcz absurdalne formy, niewątpliwie jednak podróżnika odróżnia od turysty przekonanie o jego naturalnej wyższości i wyjątkowości. Doskonałym przykładem jest tutaj

Jacek Pałkiewicz. Dla niego podróżnik do eksplorator, który niczego nie pozostawia przypadkowi. Jego działanie jest drobiazgowo zaplanowane, gdyż „w służbie ludzkości” walczy o dokumentację ginących kultur. Ucieka od turystycznego zgiełku, wtapia się w lokalną społeczność, podgląda, nawiązuje kontakt z tubylcami. Jak stwierdza Pałkiewicz, podróżnik „szuka obiektywnej rzeczywistości. To na mapie eksploratora zaznaczony jest pradawny szlak karawanowy ażalaj w Mali, niedostępna bagnista dżungla Papui Zachodniej, rzeka Kongo, którą płynął Joseph Conrad. Eksploracja to spotkanie z nieznanym, gdzie nagromadzenie wydarzeń budzi wzruszenia i dostarcza niezapomnianych przeżyć”<sup>57</sup>. Podróżnik musi być ciekawy świata, legitymizować się siłą charakteru, umiejętnością adaptacji, inicjatywą, odpornością na stres, przezwyciężeniem strachu, wiarą w sukces, rozsądkiem, dobrym zdrowiem, znajomością języków, uszanowaniem norm obyczajowych i ochroną środowiska naturalnego.

Podobnie myśli Beata Pawlikowska, która za podróż uważa tylko tę odbytą do miejsc „magicznych”, „tajemniczych” czy nieodkrytych. Podróżniczka nie tyle gardzi różnymi nieprofesjonalnymi formami podróżowania, ile zdecydowanie się od nich odcina. Jej zdaniem, podróżujących po świecie można podzielić na cztery kategorie: urzędników, turystów, strażników i podróżników. Ci pierwsi przemieszczają się z powodów służbowych i zwykle nie wytykają nosa poza klimatyzowany hotel, restaurację czy salę konferencyjną. Turyści – których atrybutem dla Pawlikowskiej są białe skarpetki albo kapelusze słomkowe, okulary przeciwsłoneczne i futerał z aparatem fotograficznym na piersiach lub przy pasku – nie zadali sobie wcześniej trudu poznania kraju, do

<sup>55</sup> Czaja D., **Sygnatura i fragment. Narracje antropologiczne**, Kraków 2004, s. 102.

<sup>56</sup> Witek H., **Wizerunek obcego. Kultury afrykańskie w relacjach Henryka Sienkiewicza, Marcina Brandysa i Marcina Kydryńskiego**, Warszawa 2009, s. 8.

<sup>57</sup> Pałkiewicz J., **Sztuka podróżowania**, Poznań 2008, s. 44. +

którego przyjeżdżają, i wykazują się ignorancją. Turystom jest wiecznie gorąco, są spoconi, wachlują się, czym popadnie, wzdychają, słabną, cierpią na bezsenność, niestrawność, gorączkę i wysypkę, ale nie lubią słuchać dobrych rad. Straceńcy chodzą ubrani w wysłużone stare ciuchy, łąając je sznurkiem albo agrafką. Unikają prania i mycia się. Epatują tatuażami, kolczykami w nietypowych miejscach, wyzywającym makijażem i zachowaniem, myśląc, że w ten sposób wtapiają się w otoczenie, a w rzeczywistości swoim brakiem dbałości o schludny wygląd wyróżniają się w kraju, do którego się udają, nie bardziej niż turyści. No i wreszcie podróżnicy tacy, jak choćby Pawlikowska. Są to ludzie, którzy unikają miejsc turystycznych, sprzęt fotograficzny lub filmowy noszą w torbie nierzucającej się w oczy, szybko uczą się lokalnych zwyczajów i podstawowych zwrotów w miejscowym języku. Łatwo nawiązują kontakty. Są schludni i dyskretni. Przygotowują się przed podróżą, szukając informacji o kraju, jego ludziach i zwyczajach. Jej zdaniem, jedynie doświadczony podróżnik jest w stanie pokonać naturalną barierę kulturowo-językowo-obyczajową dzielącą jego i tubylców, przestaje być „obcym”, a staje się „jednym z nas”. Najważniejsze cechy dobrego podróżnika to ciekawość świata, szacunek dla wszystkich ludzi i ich tradycji, uczciwość, umiejętność przystosowania się do nowych sytuacji, łatwość nawiązywania kontaktów, odwaga. Tylko podróżnik potrafi wniknąć w lokalną kulturę i ją zrozumieć<sup>8</sup>.

Niewątpliwie największą obrazą dla podróżnika jest nazwanie go turystą, ale czy rzeczywiście obie te kategorie aż tak bardzo się od siebie różnią? Turysta zadowala się światem

wykreowanym przez przemysł turystyczny, z kolei podróżnik poszukuje tajemniczości, egzotyckości, słowem – inności. Czy jego podróż to próba nawiązania dialogu z odwiedzanymi tubylcami, czy raczej jest ona motywowana chęcią umieszczenia nowych ekspozatów przy ołtarzu ku swojej czci?



Odrębną kategorią osób podróżujących po świecie są celebryci. Konieczność utrzymania zainteresowania swoją osobą sprawia, że podróż staje się równie ważnym elementem autopromocji, jak osiągnięcia kulinarne, romanse – miłości i rozstania, czy bywanie na towarzyskich eventach.

Podróż może być sponsorowana przez kolorowe czasopisma lub telewizję, które w zamian oczekują zwierzeń o związku, życiu oraz zdjęć obrazujących egzotyczne miejsca, w których są one robione. Można się także zaangażować w ratowanie świata albo wyjechać na (nie)zwykle wakacje, o których warto później wspominać w różnych wywiadach.

Maria Seweryn została wysłana w 2011 roku przez program Dzień Dobry TVN do Maroka, na spotkanie z tamtejszą kulturą w ramach cyklu Podróże w stylu gwiazd. Jak w studio przyznała sama aktorka, dotąd w ogóle nie znała Afryki i już samo wylądowanie w tym kraju było dla niej szokiem. Wszystko od samego początku było inne – od przyrody, przez ludzi i ich mentalność, aż po religię. Seweryn wyznała, że dotąd myślała, iż Maroko wygląda tak bajkowo jedynie w filmach, ale wszystko okazało się prawdą. Innymi słowy, rzeczywistość nadała za swoją własną reprezentacją. Typowy targ w Rabacie to dla niej feeria światła, hałasu, bębnow, małpek (?), jedzenia, że aż – jak sama stwierdziła – „szczeka jej

<sup>8</sup> Pawlikowska B., *Poradnik globtrotera, czyli Blondynka w podróży*, Warszawa 2008, s. 428–431.

opadła”. Dzielnie jednak radziła sobie w tym egzotycznym kraju. Na koniec dodała, że Meksykanie są przyjaźni, wszędzie zapraszają, ale trzeba mieć się na baczności, bo za wszystko trzeba zawsze sporo zapłacić.

W jesienno-zimowej ramówce TVN na przełomie 2011 i 2012 roku pojawił się program przygotowany wspólnie z organizacją pozarządową World Wide Fund for Nature – SOS dla świata. Sześć par polskich celebrytów postanowiło stawić czoła sześciu problemom ekologicznym świata: Patricia Kazadi i Michał Piróg, Anna Dereszowska i Pascal Brodnicki, Magdalena Rózcicka i Mateusz Damięcki, Monika Richardson i Zbigniew Zamachowski, Agnieszka Cegielska i Jakub Porada oraz Agnieszka Maciąg i Piotr Najstüb. Zrezygnowali oni ze swoich gaży, żeby altruistycznie się zaangażować w ratowanie świata.

Magdalena Rózcicka była w Ghanie i musiała się zmierzyć z problemem dostępu do wody pitnej. Jak stwierdziła, najbardziej zapamiętała: „Uczucie, że łamie mi się kark, kiedy niosę wodę na głowie... Smak wody po powrocie do wioski od źródła... Uczucie wstydu, kiedy piłam z butelki. Wstyd, bo nie miałam więcej, żeby się podzielić. Pić było mi tam głupio za każdym razem. Kiedy zobaczyłam, czym ci ludzie muszą zaspokajać pragnienie, to... wszystko nabrało innej wartości. Wracałam do hotelu, odkręcałam kran i też dziwnie się czułam, wiedząc, że kilka, kilkanaście kilometrów dalej ktoś ma gorszą wodę niż my w kałuży w Polsce. W czasie wyjazdu przeżywałam też swoistą sinusoidę odczuć. Najpierw przeżyłam szok, że tak to wygląda, później pojawiła się bezradność, myśl, że cokolwiek bym zrobiła, to i tak nic nie zmienię, a na koniec moment zrywu, że jednak możemy coś zrobić, działać”.

Z kolei Monika Richardson, która została wysłana, żeby oczyścić plażę w Belize ze śmieci, stwierdziła: „Zdecydowałam się na udział w programie, ponieważ uwielbiam pracować z pozytywnie zakręconymi ludźmi, a takie są dziewczyny, które przygotowywały projekt WWF. To osoby, które wierzą w to, co robią i są przekonane, że możemy zmienić świat. Oczywiście zdaję też sobie sprawę z tego, że żyjemy w globalnej wiosce i że problem śmieci jest ogromny. Kiedy zobaczyłam butelkę po szamponie polskiej firmy na plaży w Belize, dotarło to do mnie z jeszcze większą siłą. Zrozumiałam, że śmieć zostawiony nad Biebrzą za jakiś czas wypłynie w innym zakątku świata, i było to dla mnie smutno-odkrywcze doświadczenie”.

Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że dla wspomnianych gwiazd była to przede wszystkim okazja do odbycia egzotycznej wycieczki i podtrzymania swojej popularności. W moim przekonaniu program ten przyczynił się do podtrzymania wizerunku krajów pozaeuropejskich jako egzotycznych miejsc, o które się nie dba (zwłaszcza tubylcy, choć nieraz wspomina się o „złych” Europejczykach) lub które nie są w stanie same poradzić sobie ze swoimi problemami, więc trzeba im pomóc.

Zwłaszcza ostatni odcinek jest przejawem stereotypizacji krajów, które gwiazdy odwiedziły. Był to dla nich – jak się dowiadujemy – „skok w inną kulturę i inną mentalność”. Jakub Porada zdradził, że wszędzie, gdzie się pojawili, wzbudzali takie zainteresowanie, iż nakręcenie choć jednej sceny graniczyło z cudem, wszechobecne zaś błoto sprawiało, że była to inna rzeczywistość, „to był hardcore”. Towarzysząca mu Agnieszka Cegielska rezolutnie dodała, że stąd (czyli z Indii) nie wraca się takim, jakim się przyjechało – nie ma takiej możliwości. Magdalena Rózcicka +

dziwiła się, że wioszczka, do której przybyli, była taka cudowna, śliczna, zadbana, a dopiero potem się okazało, że jest tam jakiś problem. Towarzyszący jej Mateusz Damiński – pół żartem, pół serio – stwierdził, że pewnego dnia wszyscy byli dla nich tak mili i uśmiechnięci, iż pomyślał, że chcą ich zjeść. Jednocześnie obiecał, że teraz będzie inaczej postrzegał to, jak mieszka u siebie w domu w Polsce. Patricia Kazadi przyznała, że spanie pod gołym niebem było dla niej najbardziej obleśnym przeżyciem w życiu. Wszyscy jednak zgodnie wyrażali wielką radość, że wzięli udział w tak wyjątkowym programie, że mają wrażenie, iż zrobili coś dla świata, oraz że mają nadzieję, iż uda się im choć troszkę zmienić ludzi.

Tyle że, jak doniosły Wirtualne Media, program ten przegrał bitwę o widza z emitowanymi przez konkurencję Szansą na sukces (TVP 2), powtórkami Rancza (TVP 1) oraz Formułą 1 (Polsat). Czy więc TVN zdecyduje się na kontynuację SOS dla świata? Czy podczas realizacji tego programu kierowano się rzeczywistą chęcią niesienia altruistycznej pomocy, czy raczej stworzenia jeszcze jednego medialnego widowiska? Jeśli to drugie, to oczywiście nie ma w tym nic złego, ale czemu nie zadbano o to, żeby ukazać pozaeuropejski świat w nieco mniej stereotypowy sposób? Zasadne jest chyba także pytanie, czy były to darmowe egzotyczne wakacje dla gwiazd, czy realna pomoc.

Na odrębną uwagę zasługują zwierzenia celebrytów w kolorowej prasie. Jacek Poniedziałek w „Gali” z lutego 2012 roku opowiadał o swojej pasji podróżowania. Dla niego za granicą człowiek staje się eksterytorialną instytucją, pustym naczyniem, tabula rasa, czymś do wypełnienia... Azja, a zwłaszcza Tajwan sprawiał, że polski aktor zmienił się wewnętrznie. To, co w Tajwanie pociąga go najbardziej, to „jego niezwykła organiczna duchowość i to,

co z niej wynika. Niewymuszone ciepło, dobro, szacunek, grzeczność w najprostszych gestach, niezwykła, nie sentymentalna, ale racjonalna troska o wszystkie dzieci, nie tylko o swoje własne. Wizyty w świątyniach robiły niesamowite wrażenie. Można w nich przesiedzieć cały dzień. Spotkasz cały przekrój ludności miejscowej. Wielkie posągi całej masy bóstw gromadzą tłumy ludzi potrzebujących wsparcia i pomocy tej albo innej siły i ludzi, którzy przyszli podziękować za coś dobrego, co dzięki bóstwu zdarzyło się w ich życiu. Oni z tymi bogami-bóstwami rozmawiają, swoje prośby, modły wypowiadają na głos, nie wstydzą się tego”.

W tym samym momencie Justyna Steczkowska opowiedziała „Show” o swojej podróży do Indii. „Pojechaliliśmy całą rodziną do Indii. Pierwszy raz byłam tam 14 lat temu. Wtedy kręciliśmy teledysk. Niestety, nic nam się udało zrobić. Hindusi są przemiłymi ludźmi, ale nieustannie się spóźniają. I to nie godzinę, tylko kilka dni, twierząc jednocześnie, że już, za chwilę będą na miejscu, bo właśnie jadą (śmiech). Ale kocham ten kraj, jest magiczny. Teraz też zabrałam ze sobą ekipę do pracy przy teledysku...”

Na marginesie warto wspomnieć, że Justyna Steczkowska – razem z Krystyną Jandą, Beata Tyszkiewicz, Magdą Gessler i Katarzyną Figurą – jest ambasadorką biura podróży ITAKA i zachęca do podróżowania razem z tą instytucją.

Celebryci nie mają nas, że chcą poznać inną kulturę. Raczej od samego początku traktują „miejscową egzotykę” jako tło dla swojej osoby. Media chętnie podążają za gwiazdami albo pytają o ich tajemnicze i fascynujące podróże. Ale czy w ten sposób owe podróże mogą nas cokolwiek nauczyć o świecie?



Badacz spośród prezentowanych osób jest najbardziej wykwalifikowanym, zdawałoby się, wędrowcem. Dla niego świat pozaeuropejski jest miejscem pracy. Tam weryfikuje on swoje koncepcje, które potem przekazuje w książkach oraz artykułach naukowych i popularnonaukowych. Anna Wieczorkiewicz uważa, że można wyróżnić dwa wzorce poznawcze – anatomiczny i kanibalistyczny. Naukowiec poznaje rzeczywistość w sposób anatomiczny. Stara się poznać działanie poszczególnych elementów, wykryć ich wzajemne związki, a następnie wyłożyć je w sposób metodyczny, opisać, ujmując w diagramy i modele. Wyniki można zweryfikować – zbadać autentyczność sygnatury na obrazie, by potwierdzić autorstwo, wykonać kwerendę źródeł, by udowodnić, że dany taniec rzeczywiście się wywodzi z tradycji danego ludu. Istnieje pewien układ odniesienia, dzięki któremu prawda daje się zobiektywizować. Turysta z kolei preferuje kanibalistyczny tryb poznania. Chce wchłonąć odmiennosć, odczuć jej smaki, nacieszyć się różnorodnością jej odcieni – a określając siłę swego doznania, określić też stopień jego autentyczności. Porusza się po przygotowanej „turystycznej mapie drogowej”, zawartej w przewodnikach, którym zawiera niemal bezrefleksyjnie<sup>9</sup>.

Jednakże czy badacz podczas podróży rzeczywiście jest w stanie dobrze poznać miejsce, który odwiedza? Czy podczas krótkiego pobytu dotknie owej specyfiki kulturowej, o której wcześniej czytał w naukowych książkach? Czy może jest jednak tak, że podróż, którą odbywa, ma przede wszystkim potwierdzić wcześniejsze hipotezy? Oczywiście w dużej

mierze zależy to od badacza, jego rzetelności i przede wszystkim otwartości. Cały czas jednak będzie on postrzegał tubylca jako Innego, którego stara się opisać. Z pewnością zdobytą wiedza umacnia formułowane przez niego sądy, ale często prowadzi to na manowce. Naukowe opisywanie świata – o czym wspomina Edward Said w swoim *Orientalizmie* w 1978 roku – w znacznej mierze przyczyniło się w okresie kolonialnym do umocnienia przekonania o europejskiej wyższości i konieczności sprawowania władzy przez Stary Kontynent nad resztą świata. Czy możemy się ludzi, że dziś jest inaczej?



Trudno się oprzeć wrażeniu, że podróżowanie jest ciągłym nurzaniem się w inności. Inna przyroda, inni ludzie, inna kultura. To nas w świecie pozaeuropejskim najbardziej pociąga. Gdy pewnego dnia udałem się ze swoimi studentami do Limy, jeden z nich, po niespełna godzinie wędrowania po tym mieście, ze zdziwieniem stwierdził: „Tu jest jak w Polsce”. To początkowe odkrycie zburzyło jego budowane z polskiej perspektywy przekonanie, że świat pozaeuropejski jest z gruntu inny. Nagle otworzyła się przed nim możliwość poznania kraju, który – wydawałoby się – dobrze zna. Zna z książek, filmów czy programów podróżniczych...

Problem polega na tym, że we współczesnym świecie, w erze cyfrowej – ze wszystkimi jej konsekwencjami, zwłaszcza w kontekście szybkości przesyłania informacji – żaden skrawek ziemi nie jest dla nas tabula rasa. Ruszając w świat, nieuchronnie potwierdzamy nasze stereotypowe jego postrzeganie. Czyż podróż nie jest w stanie nas przekonać, że Latynosi są leniwi, a Azjaci skryci? Że w Afryce bieda jest kolorowa i wszechobecna? Że świat +

<sup>9</sup> Wieczorkiewicz A., *Apetyt turysty. O doświadczeniu świata w podróży*, Kraków 2008, s. 352–353.



pozaeuropejski jest egzotyczny i pociągający, a zarazem brudny i niecywilizowany? Gorzej, gdy Anglik czy Francuz swoimi wizytami w Polsce potwierdza tkwiące w jego głowie stereotypy na temat naszego kraju i nas samych. Wówczas się obruszamy, bo przecież na ulicach nie ma furmanek, drogi – bądź co bądź – się budują, a Polacy nie są wiecznie zapijaczeni. Dlaczego więc, wymagając od innych dekonstruowania naszego wizerunku, nie zadamy sobie trudu, żeby w świecie pozaeuropejskim widzieć cokolwiek więcej niż tylko egzotykę i inność?

Pokazałem kilka typów osób ruszających w świat. Turysta chce przede wszystkim wypocząć i dobrze się bawić, jednocześnie zyskując możliwość pochwalenia się przed znajomymi swoim zdjęciem z Tadż Mahal w tle. Ilu z nas ruszających na takie wakacje rzeczywiście zadaje sobie trud, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś o kraju, do którego się jedzie? Zamknęci w turystycznych enklawach, z możliwością odbycia bezpiecznych fakultatywnych wycieczek, cieszymy się słońcem i plażowaniem.

Podróżnik zwykle gardzi zwykłym turystą. To określenie jest w jego ustach jak obelga. Szuka wyjątkowości, chce dotrzeć dalej, wyżej, głębiej – tam, gdzie nikt nie dotarł, najlepiej tam, gdzie nie stanęła stopa białego człowieka. To jak wyścig, w którym jednak – podobnie jak u turysty – nie ma czasu na chwilę zastanowienia nad kulturą i ludźmi, których się właśnie mija.

Celebryci stanowią oddzielną kategorię ludzi, którzy zwykle oderwani są od naszej powszechnej codzienności. Dla nich podróż do świata pozaeuropejskiego to jak wyjście z kryształowego pałacu i zapuszczenie się w terra incognita. Czynią to, żeby pielęgnować

swoją popularność. W związku z tym wszędzie, gdzie przybywają, musi być cudownie, magicznie i tajemniczo. Najlepszym tego przykładem jest aktorka Anna Mucha, traktowana dziś jako jeden z najlepszych produktów marketingowych w Polsce. Któż z nas z rozrzewnieniem nie wspomina nie tak odległych chwil, gdy szczęśliwe rozwiązanie aktorki śledziła cała Polska na łamach kolorowych pism? Warto przy tym jednak pamiętać, że wielka metamorfoza Muchy zaczęła się od jej samotnej podróży do Azji Płudniowo-Wschodniej, w listopadzie 2006 roku. Swoją amatorską kamerą kręciła filmiki, które następnie przesyłała do Dzień Dobry TVN. Jej triumfalny powrót, odchudzanie, zmiana wizerunku, obecność we wszelkiego rodzaju mediach są następstwem – możemy to wyczytać w podtekście – podróży, która ją zmieniła. Mam wrażenie, że wielu polskich celebrytów próbuje, nawet jeśli nieświadomie, uczyć się od niej, jak rekonstruować swój wizerunek w zbiorowej wyobraźni Polaków.

Wreszcie badacz, którego misją jest opowiadanie o otaczającym nas świecie. Ile czasu ma on jednak do dyspozycji, żeby oderwać się od książek, które dotąd przeczytał? Czy podczas często krótkich wizyt jest w stanie poznać kulturę, którą się fascynuje? Norweski antropolog społeczny Thomas Hylland Eriksen stwierdził, że łatwiej jest napisać książkę, będąc kilka tygodni czy miesięcy w obcym kraju, niż gdy się tam spędzi lata. „Im więcej się wie, tym więcej się nie wie”<sup>10</sup>. Ilu badaczy jednak podpisałoby się pod tak trafnym spostrzeżeniem?

Nieuchronnie zmierzam więc do pytania: czego podróże nas uczą? Przede wszystkim

<sup>10</sup> Eriksen T.H., *Tyrania chwili. Szybko i wolno płynący czas w erze informacji*, Warszawa 2003, s. 210.

dowiadujemy się czegoś o nas samych, ale to raczej skrętnie ukrywamy. Tego, czego się nauczyliśmy, trudno szukać na zdjęciach, które zrobiliśmy, w kolorowych magazynach, którym udzieliliśmy wywiadu, czy w napisanych przez nas książkach. W zależności od tego, jak podróż nas zmieniła, z taką wrażliwością podchodzimy do krajów, kultur i ludzi zamieszkujących pozaeuropejski świat. W jednym wypadku skłania nas to do ponownego przemyślenia naszego postrzegania inności, w drugim – zdecydowanie częściej – przekonujemy się o słuszności naszego wcześniejszego założenia o europejskiej wyższości nad całym pozostałym światem.



W 1988 roku australijski filmowiec Dennis O'Rourke nakręcił film dokumentalny *Cannibal Tour*, do dziś będący doskonałym obrazem relacji między zachodnimi turystami a światem „egzotycznym”, który jest specjalnie dla nich konstruowany. Zachodni turyści zapisali się na wycieczkę do „dzikich”, a O'Rourke im towarzyszył. Bohaterowie są pewni siebie, pewni swoich osądów i swojego europocentrycznego postrzegania świata. Poza tym chcą przeżyć swoją – ale w wersji komfortowej – wycieczkę do pozaeuropejskiego „jądra ciemności”.

Jednakże wizyta u natywnych mieszkańców Papui Nowej Gwinei nie różni się specjalnie od niedzielnych wizyt w zoo lub muzeum. Zachodni turyści bowiem traktują ludność tubylczą jak etatowych pracowników Disneylandu, którzy odgrywają przed nimi egzotyczne scenki. W sumie zapłacili, i to niemało, za swój cannibal tour. Z jednej strony chcą, aby tubylcy byli autentyczni, z drugiej – aby się dostosowali do sposobów uprawiania turystyki przez ludzi z Zachodu. Tubylcy z kolei przyjmują strategię samoegzotyzacji, aby ła-

twiej się sprzedać napływającym do nich turystom. Dlatego mówią o rzekomym kanibalizmie swoich przodków i pokazują miejsca, gdzie dochodziło ponoć do tego typu aktów.

Wbrew pozorom (i widz nie ma zapewne co do tego najmniejszych wątpliwości) tytuł filmu – *Cannibal Tour*, odnosi się nie do dawnych praktyk ludności tubylczej, ale do turystów, którzy „pożerają” pozaeuropejskie kultury, najeżdżając je i domagając się spełnienia swoich wyobrażeń na temat tego, jak wyglądają „dzicy” czy „prymitywni” ludzie. Jest to próba dokonania wiwisekcji życia Innego z Papui Nowej Gwinei i turyści zrobią wszystko, żeby przyjrzeć się i dotknąć „egzotycznej” ludności rdzennej.

Jednakże dla rdzennych mieszkańców wysp turyści są także Innymi, których oni goszczą na swojej ziemi, gdyż mogą na nich zarobić. Pieniądz jest podstawowym czynnikiem, który sprawia, że decydują się oni na tę dwuznaczną grę. Skarżą się co prawda, że zachodni turyści mają wiele pieniędzy, ale niechętnie je wydają na miejscowe produkty. Mimo wszystko jednak coś tam zostawiają i to w pewnym stopniu poprawia egzystencję ludności w wiosce. Stąd też ludność tubylcza decyduje się na podjęcie różnych strategii, aby odczytać oczekiwania przybyszów i dać im szansę na dotknięcie „autentycznej” egzotyki.

Film O'Rourke'a nie ma jedynie wymiaru lokalnego. Turyści mogą pojechać z Papui Nowej Gwinei w jakiegokolwiek inne miejsce na świecie i prawie podobne mądrości. Nasze archiwum wiedzy o nich jest zdecydowanie większe niż ich o nas. Ale czy przez to rzeczywiście wiemy więcej o odwiedzanych tubylcach? Czy ich rozumiemy? Czy jesteśmy w stanie na tym budować dialog?

Jeszcze jedno pytanie jest zasadne – czy warto więc podróżować? Moim zdaniem, warto, ale trzeba to robić z większą dawką pokory. Inny zawsze będzie dla nas inny – nie da rady tego zmienić, więc może lepiej dać sobie spokój z zawracaniem rzeki kijem. Ale gdyby zacząć traktować tubylca jako podmiot naszych relacji, to z pewnością byłby to krok w dobrą stronę. Jeśli przestaniemy widzieć wszędzie w pozaeuropejskim świecie kolorową biedę, urokliwe zacofanie, niedorozwój, tradycyjną (w rozumieniu wsteczną) kulturę czy stereotypową mentalność ludzi, których mijamy, to wówczas mamy szansę stwierdzić, że czegoś się nauczyliśmy o Innych. Inaczej prawdą pozostanie stwierdzenie, że podróże kształcą, choć niektórych kształcą po prostu głupio. Nie bądźmy kanibalami pożerającymi odmienne kultury, jakich O'Rourke przedstawił w swoim filmie. Dajmy sobie szansę nauczyć się czegoś o świecie, który nas otacza, choć nie jest to wcale takie proste. ●

fot. Arek Kalin



